

Muzea w miejscach pamięci: paradygmat aktualności doświadczenia z przeszłości

Z dr. Piotrem M.A. Cywińskim, dyrektorem Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau w Oświęcimiu, rozmawia Jacek Stawiski.

Opracowanie redakcyjne wywiadu:
Marta Śmietana

Piotr M.A. Cywiński

dyrektor Państwowego Muzeum Auschwitz-Birkenau, historyk mediewista, działacz społeczny. Od 2000 do 2006 roku sekretarz Międzynarodowej Rady Oświęcimskiej. W latach 2009–2018 członek Rady ds. Muzeów przy Ministrze Kultury i Dziedzictwa Narodowego, a w latach 2021–2024 jej wiceprzewodniczący. Współtwórca Fundacji Auschwitz-Birkenau. Od 2018 roku główny ekspert Centrum Badań nad Ekonomiką Miejsc Pamięci przy Uniwersytecie SWPS. Od 2021 roku pełni funkcję przewodniczącego Rady Muzeum KL Płaszów w Krakowie.

Jacek Stawiski

dziennikarz radiowy i telewizyjny. Od 1992 roku związany z rozgłośnią RMF FM, gdzie początkowo współtworzył serwisy informacyjne, a następnie koordynował pracę zespołu obsługi medialnej globalnych konfliktów. W latach 1994–1999 pracował w Światowym Serwisie BBC. Od 2007 roku związany jest ze stacją TVN24. Od 2019 roku redaktor naczelny stacji TVN24 BiS. W latach 2021–2023 specjalista ds. promocji i wizerunku Muzeum KL Płaszów w Krakowie. Obecnie dyrektor Żydowskiego Muzeum Galicja w Krakowie.

Jacek Stawiski: Przez lata z bardzo bliska obserwowałeś proces powstawania Muzeum KL Płaszów, znasz go doskonale. Na początek chciałem więc zapytać, jak oceniasz drogę, którą podąża muzeum?

Piotr Cywiński: Dyskusja nad upamiętnieniem KL Płaszów trwała latami, zastygła i powracała, jakby falowała – i w końcu dotarła do jakiegoś punktu. To dobrze, bo pamięć o obozie była na pewno niezagojoną raną, nie do końca rozumianą i budzącą lęki. Ale też rodzącą społeczne wyparcie. To także rana na mapie Krakowa i Małopolski. Był to przecież bardzo istotny obóz w Generalnym Gubernatorstwie. Myślę, że to dobrze, że muzeum powstawało w długiej dyskusji, bo to pozwoliło skanalizować niektóre lęki i wyprowadzić bardziej odpowiedzialną refleksję. Ważne jest też, byśmy mieli świadomość, że muzeum, które obecnie powstaje, może się wydawać docelową formą, ale każde miejsce pamięci jest pewną substancją żywą, która ewoluuje. Wiele będzie zależało w przyszłości od struktury instytucji, liczby osób odwiedzających i wielu innych czynników. Ale otwarcie muzeum należy zawsze traktować jako nowy początek, ponieważ pamięć jest kwestią bardzo żywą, ujawniającą się przecież nie w przeszłości, ale w teraźniejszości. Miejsca pamięci to nie tylko wiedza historyczna, ale też formy jej przeżywania, ujawniania się w przestrzeni publicznej. Dla mnie najciekawszym elementem tego dochodzenia do pewnego pomysłu na upamiętnienie KL Płaszów była dyskusja społeczna, bardzo wielowątkowa, z wieloma uczestnikami czy wręcz aktorami tej dyskusji, z próbami wyciszenia, oddalenia, wyparcia, zmienienia, zaadaptowania do różnych funkcji. Było to o tyle ciekawe, że choć ten mechanizm jest zrozumiały, to jednak rzecz nie działa się gdzieś w lasach nadbużańskich czy w Lesie Rzuchowskim, czy w innych, niemalże pustych terenach, tylko w środku prężnie rozwijającego się miasta. Doświadczenie tej dyskusji było zatem wartością samą w sobie.

Jak z perspektywy swojego doświadczenia wyobrażasz sobie ewolucję muzeum, biorąc pod uwagę zmianę wrażliwości, nowe pokolenia, nowe technologie i wreszcie odchodzenie świadków?

Sprawy pokoleniowe są zawsze elementem napędowym pamięci. Wystarczy spojrzeć na mapę Europy, gdzie większość poobozowych upamiętnień powstawała w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, czyli w momencie, kiedy pokolenie pamiętające wojnę zdało sobie sprawę, że dorastają ich dzieci, które urodziły się tuż po wojnie. I one mogą nie pamiętać.

Pomnik płaszowski też powstał w latach sześćdziesiątych.

Tak, on też jest efektem lęku zmiany pokoleniowej, lęku dziwnego i trochę absurdałnego. W Auschwitz także w 1967 roku powstaje pomnik, bo właśnie zmiana pokoleniowa jest mocnym napędem tworzenia

widocznych znaków pamięci. Zmiana, którą obserwujemy obecnie, jest o tyle istotna, że właśnie dorastają wnuki osób, które urodziły się po wojnie, a historia ich dziadków jest wciąż jeszcze historią rodzinną, własną, intymną. Z kolei dla następnego pokolenia historia pradziadków już taka nie będzie. Odchodzą ostatni świadkowie.

Jak więc według Ciebie zmieniać się będzie mechanizm pamięci w kolejnych pokoleniach?

To jest tak, jak z grobami najbliższych. Na ogół każdy wie, gdzie są mogiły babć i dziadków, ale co do pradziadków to już mało kto jest w stanie powiedzieć, gdzie wszystkie osiem osób jest pochowanych. W obszarze pamięci taką pierwszą cezurą jest ostatnia dekada; teraz nadchodzi druga cezura, czyli odejście ostatnich świadków, najstarszych Ocalałych. Naprawdę ostatni są wciąż jeszcze z nami, lecz często już nie mają siły, żeby uczestniczyć w codziennym przeżywaniu pamięci. W związku z tym lęk związany ze zmianą pokoleniową jest coraz silniejszy. Ten mechanizm zapisuje się w czasie bieżącym, każda dekada jest trochę inna.

Jak więc postępować, gdy zabraknie ostatnich świadków?

Według mnie możliwe są dwie ścieżki. Od naszego wyboru będzie zależała i sama pamięć, i jej rola w naszym świecie, dlatego uważam, że jesteśmy wszyscy na bardzo ostrym zakręcie. Pierwsza ścieżka jest pewnym zredukowaniem doświadczenia Zagłady i dehumanizacji do wiedzy historycznej. Ten proces zaczął się w Europie na przełomie lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych XX wieku, gdy głównym zagrożeniem był negacjonizm, któremu miała przeciwdziałać znajomość faktów. W efekcie jeśli dzisiaj Zagłada występuje w nauczaniu, to tylko na lekcjach historii i nie jest wpisana w lekcje etyki, religii, nauki o społeczeństwie, rzadko pojawia się przy okazji lektur pomocniczych. Jednak wiedza historyczna czy faktografia to nie jest to samo co pamięć. Dlatego sądzę, że druga ścieżka, dążąca poprzez pamięć do zrozumienia mechanizmów i odczytania z nich właściwej przestrogi, choć jest trudniejsza do realizacji, to jednak jest o wiele bardziej potrzebna.

Punktem wyjścia dla niej powinno być przekonanie, że to, co się wydarzyło, było ogromnym zakrętem historii, doświadczeniem skrajnym, punktem bezpowrotnym. Waga doświadczenia Zagłady wynika z bardzo wielu względów, nie tylko racjonalistycznych, politycznych, karnych czy prawnych – ale z przyczyn kulturowych, religijnych, etycznych. To doświadczenie zdecydowanie skrajne, przeczące temu wszystkiemu, co cywilizacja ludzka próbowała przez całe wieki budować. Dlatego trzeba przyjąć, że jest to fundamentalny element naszej powojennej tożsamości i cywilizacji. Z pewnością w odniesieniu do Europy jest to część naszej tożsamości, która nas zmusza do tego, byśmy byli jednak inni, mądrzejsi (czytaj ostrożniejsi) po Zagładzie, niż byliśmy przed nią. Takie szersze rozumienie antropologiczne byłoby dużo bliższe prawdy

niż tylko czytanie świata w kluczu historycznym. Lepiej by pasowało do ludzkiej natury i do wyzwań stojących wobec samej pamięci. Wiedza historyczna i pamięć to nie jest to samo. Pamięć wiąże się z doświadczeniem, co znaczy, że nawet jeśli ja sam tego nie doświadczyłem, ale pamiętam o czymś, to adaptuję również to doświadczenie i czynię je bardziej swoim. Pamięć jest czymś, z czym można żyć zbiorowo, nawet gdy decyzje podejmuje się samodzielnie. Historycy lubią powtarzać jak mantrę, że historia *magistra vitae est* – ale chyba nie do końca. Pamięć – o wiele pełniej.

Jaka według Ciebie będzie rola pamięci w edukacji?

Pamięć jest bardziej rozumna od wszystkich faktografii, bo faktografia jest tak naprawdę tym, co czyni historię najbardziej ścisłą z nauk humanistycznych. Pamięć z kolei jest żywa, dotyczy również psychologii, traumy i dialogu społecznego. Aspektów dużo szerszych i bardziej aktualnych, codziennych. Więc dla mnie ten pamięciowy zakręt, na którym się znajdujemy, jest dużo ważniejszy od innych aspektów, które tu można wymieniać, od czysto pokoleniowych po odchodzenie świadków. Mam wrażenie, że dzięki pamięci jesteśmy o krok od zrozumienia, jak wielkim doświadczeniem była Zagłada, jak wiele ono nam mówi na przyszłość – mówię w sensie zbiorowym.

Czy na tę refleksję gotowe są muzea? W tym to, którym Ty kierujesz, i również Muzeum KL Płaszow?

Na ten temat rozmawiamy już od lat w Muzeum Auschwitz, głównie z osobami odpowiedzialnymi za edukację, ale też za oprowadzanie, wydawnictwa i za komunikację zewnętrzną. Takie rozmowy również prowadziłem z osobami odpowiedzialnymi za te sfery w instytucie Yad Vashem czy Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie i okazjonalnie z innymi mniejszymi miejscami pamięci. Dla nas w Auschwitz w tej chwili bardzo istotne jest przeprowadzenie pewnych drobnych, ale istotnych zmian w sposobie oprowadzania, bo właśnie oprowadzanie jest głównym zwerbalizowanym doświadczeniem dzisiejszego odwiedzającego. Nie konferencje, nie seminaria, nie kolokwia, tylko zwiedzanie, które przecież jest przeżyciem znacznie szerszym niż samo poznanie faktów historycznych. Podobnie oddziałują również nasze sieci społecznościowe.

Ważne jest, żeby człowiek, który przechodzi przez Auschwitz – a to mu zajmuje od 3,5 do 4 godzin w podstawowej wersji – wychodził nie tylko ze zrozumieniem tej przestrzeni i historii, ale również z pewnym odczuciem moralnego niepokoju. Myślę, że nasza misja będzie wykonana dobrze wtedy, kiedy człowiek wyjdzie, nie tylko myśląc „o Boże, jak to było możliwe, że tak się stało?”, ale przynajmniej „o Boże, co ja mam dzisiaj robić?”. Jakie znaczenie mają dokonywane przeze mnie wybory, czy reaguję, czy jestem obojętny. To jest bardzo istotne i wydaje mi się,

że wówczas wizyta w miejscu pamięci będzie prawdziwym rytuałem przejścia. To pojęcie z zakresu socjologii i historii religii, które wydaje mi się najbliższe temu, czym powinno być dzisiaj doświadczenie miejsca pamięci.

Czy mógłbyś powiedzieć coś więcej na ten temat? Czy upamiętnienie płaszowskie również uwzględnia według Ciebie rytuał przejścia?

W moim przekonaniu tam, gdzie proponowany rytuał przejścia obserwuję jako coś udanego, jest on procesem dwufazowym. Podczas zwiedzania najpierw poznaje się fakty, historię, wreszcie dramat człowieka. A w drugiej fazie wychodzi się w teren i pierwsze, co uderza, to przerażający rozmiar, bo to niemal zawsze duże obszary, choć w bardzo różnym stopniu zachowania. Jednak zrozumienie ogromu i przejście w samotności, bądź z przewodnikiem, przez ten ogrom jest kluczowym doświadczeniem umiejscowienia samego siebie właśnie w pewnej czasoprzestrzeni. Właśnie tutaj, ponad wiedzą historyczną, rodzi się w moim przekonaniu pamięć. Ten proces zachodzi lepiej lub gorzej w wielu miejscach, gdzie zachowane są relikty: w Auschwitz, w Ravensbrück, w Dachau; to samo utworzono w Sobiborze, a tworzy się w tej chwili w Treblince. Takie upamiętnienia występują we Francji i w Niemczech. Na przykład w Bergen-Belsen, gdzie choć pozostałości obozu są niemal żadne, bo wszystko zostało spalone w wyniku lęku przed tyfusem, to obecnie przy parkingu jest duży budynek edukacyjno-wystawienniczy i nim wejdzie się w przestrzeń poobozową, zdobywa się wiedzę historyczną. Podobnie jest z Gross-Rosen, gdzie wystawa edukacyjna znajduje się przed bramą obozu. Taki dwuetapowy schemat będzie również powtórzony w Płaszowie, gdzie mamy budynek z wystawą stałą, a potem dopiero człowiek wchodzi w teren i zdaje sobie sprawę, że jest to obszar wielkości małej dzielnicy. To wszystko przeraża, wyobrażenia, pojawiają się pytania: jak to się mogło dzieć tutaj, w tak ogromnej przestrzeni, pomieścić tak wielu więźniów – ofiar, osób nękanych? I w tym aspekcie wydaje mi się, że jest to dobry kierunek, który odpowiada najbardziej udanym działaniom w miejscach pamięci z ostatnich trzech dekad.

To tylko kierunek, bo niektóre z miejsc pamięci są wciąż zdecydowanie mniej przemyślane. Ale są też takie, które – choć odmienne – bronią się, nawet jeśli warstwa edukacyjna jest gdzieś z boku. Na przykład w Bełżcu, gdzie można nawet nie zauważyć, że po prawej stronie od wejścia jest niewielka wystawa – a jednak można przeżyć ten pomnik. Choć w tym przypadku jest to raczej przeżywanie pewnej ekspresji artystycznej. Trochę jak dotychczas było w Treblince.

Jak więc w kontekście tego, co mówisz, mieszczą się próby zastępowania odchodzących świadków technologią? Jakie ograniczenia niosą ze sobą filmowe wizerunki?

Spotkanie z drugim człowiekiem jest zawsze niepowtarzalne i żadna forma techniczna nawet nie zbliży się do tego doświadczenia. Czasy jednak są nieubłagane. Lęk, który mamy przed odejściem Ocalałych, jest bardzo podobny w swojej esencji do naszej troski o to, czy przyszłe pokolenia będą odwiedzać miejsca pamięci, czy młodzi ludzie będą coś rozumieć. Interesujące jest to, że dzisiaj z jednej strony zrzucamy naszą odpowiedzialność na osoby ocalałe, dziewięćdziesięciolatków („co będzie, gdy ich zabraknie?”), a z drugiej – na karb kolejnych pokoleń, dzisiejszych nastolatków („czy będą pamiętać?”). Kompletnie zapominając o sobie. To jest bardzo ciekawa, ale też niezwykle pospolita forma ucieczki przed samym sobą. A to jedyne dwa pytania, które są mi zadawane niemalże w każdym wywiadzie i w każdej dyskusji... Jak sprawić, by młodzi ludzie wciąż odwiedzali miejsca pamięci, i co zrobić, żeby Ocalali pozostali z nami? Tak określone lęki pozwalają nam wyłączyć samych siebie, trzydziesto-, czterdziesto-, pięćdziesięcio- i sześćdziesięciolatków, z całej tej dyskusji.

Bezsprzecznie to, co powiedzieli Ocalali, jest fundamentem na przyszłość, bo przecież oni tego najpełniej doświadczyli i ich słowa są najpełniejszym przekazem. Pamiętajmy jednak, że nie mówili wszystkiego, tylko to, co uważali, że mogą powiedzieć, i to, co sądzili, że jesteśmy w stanie zrozumieć. Człowiek będący w sytuacji skrajnie dramatycznej nie opowiada o wszystkim ludziom, którzy przez to samo nie przeszli. Bo wie, że nie wszystko da się przekazać słowami.

Natomiast co do formy technicznej, w tej chwili wydaje się, że nagrania wideo świadków są odbierane w sposób bardziej wiarygodny niż spisane relacje, czytane przez innych. Nie wiem oczywiście, jak to się zmieni w przyszłości, będą zapewne nowe możliwości, których teraz nie jesteśmy w stanie przewidzieć. Dzisiaj przekonuje odbiorców widok twarzy Ocalałego, malujące się na niej emocje albo też ich brak. Dla wielu są jednak granice w zdolności właściwego odczytania Ocalałych. Na przykład to, o czym często zapominamy: że mamy przed oczyma twarze osób starych, a którzy przecież mieli kilkanaście, dwadzieścia kilka lat, kiedy byli w obozie. Swoistym szokiem było dla mnie, gdy dekadę temu polecałem na serię wykładów i konsultacji do Rwandy i spotkałem się ze stowarzyszeniem Ocalałych Tutsi, i oni wszyscy byli młodszy ode mnie. Wtedy zdałem sobie sprawę, że dzisiejsze nagrania Ocalałych z Zagłady w pewnym sensie zafatsowały nam wyobraźnię. Przecież do obozów trafiali młodzi ludzie. Mieli oni *de facto* większe szanse na przeżycie, bo po pierwsze nie byli obciążeni lękiem o swoją najbliższą rodzinę. Mogli mieć rodzeństwo, ale nie swoją własną komórkę rodzinną w sensie mąż, żona, dzieci. A dzięki temu, że byli młodzi, mieli więcej sił do przetrwania niewolniczej roboty.

Więc gdy widzimy obraz tej mocno starszej twarzy, która coś opowiada, to samo w sobie też już rodzi podświadomie pewną modyfikację odbioru przekazu względem samej historii.

Dziękuję za wyjaśnienie. Czy według Ciebie uda się wpisać w opowieść o KL Płaszow historie, które działy się wokół obozu? Zarówno te lokalne, jaki i te, które sięgały poza granice Krakowa i Polski? Część z nich nie została opowiedziana do dzisiaj i wciąż rezonuje.

Patrząc na to, jak wiele opowieści udało się pomieścić w Fabryce Schindlera i Aptece pod Orłem, a nawet na to, jak Kazimierz radzi sobie z różnorodnością, nie mam tutaj wielkich obaw. Zwłaszcza że ogromną siłą Muzeum KL Płaszow jest to, że dialog społeczny został zainicjowany w ubiegłych dekadach. W przypadku miejsca pamięci ważne jest, żeby zakotwiczyć je w lokalnym doświadczeniu, bo nie są to przestrzenie wyrwane z kontekstu. Nawet te obozy, które wydawałoby się, że są najbardziej oderwane od większych skupisk ludności, jak na przykład Treblinka. Pozornie bliższa jest jej Warszawa niż Małkinia czy Kosów Lacki. Ale to tylko złudzenie, bo Treblinka była i jest częścią pewnego mikrokosmosu, który tam istniał, i to samo dzieje się w przypadku każdego miejsca pamięci. Staramy się od lat pracować z tą świadomością w naszym muzeum. Robimy w Państwowym Muzeum Auschwitz-Birkenau różne sesje, miniseminaria i działania zwrócone ku społeczności lokalnej. Wokół obozu była ogromna, wyludniona tzw. strefa interesu, w której paradoksalnie działo się bardzo wiele: istniała pomoc, świadczyły ją młode dziewczyny z okolic obozu, regularnie szmuglowano lekarstwa, przekazywane były grypsy, pomagano uciekinierom. Istniały także dosyć rozbudowane relacje miasto-obóz, często również bolesne dla miejscowej ludności, wynikające z rozrastania się niemieckich firm czy zmiany tkanki społecznej w całym mieście. Świadomość tych wszystkich procesów pozwala nie tylko budować wiedzę historyczną, ale także podtrzymać pamięć lokalną i wpisywać ją w dzisiejszą tożsamość – nawet jeśli Oświęcim w ogromnej mierze się zmienił po wojnie. Przed 1939 rokiem był 8–10-tysięcznym miasteczkiem, gdzie ponad połowa mieszkańców to byli Żydzi, trochę Niemców, trochę Romów, może około 40% Polaków, a po wojnie bardzo szybko mamy 50-tysięczne miasto złożone głównie z ludzi przybywających z ziem dzisiaj ukraińskich. W Oświęcimiu 90% ludności powojennej to byli ludzie napływowi: zza Buga, górale, którzy już nie chcieli chodzić za owcami, albo górnicy, którzy mieli dość pracy w kopalniach i przenieśli się do nowo tworzonego miasta o profilu wybitnie chemicznym. Przykładów takich zmian struktury społecznej wokół miejsc pamięci mamy dużo więcej, choćby wokół Stutthofu. Przed drugą wojną Mierzeja Wiślana i całe Żuławy były zamieszkane przez ludność niemieckojęzyczną, często menonicką, która następnie uciekła przed Armią Czerwoną i po 1945 roku na Żuławach pojawili się nowi osadnicy. To samo jest w Warszawie, mamy może 7% mieszkańców, których rodziny są zakorzenione w przedwojennej Warszawie. W istocie więc niewielka liczba osób wyniosła z domu świadomość, czym były Pawiak, Nalewki, Umschlagplatz, aleja Szucha – ale kiedy pojawia się kotwica, znak Polski walczącej, to już każdy jest warszawiakiem. Są więc elementy, które mogą stać się tożsamościowo

twórcze i scalać doświadczenia, nawet jeśli nastąpi to w drodze pewnej adopcji historycznej. Według moich obserwacji Muzeum KL Płaszów będzie i w tym zakresie musiało wyciągać wnioski z doświadczeń innych miejsc pamięci. Już powoli to robi. Dzisiaj także ludzie mieszkający wokół dawnego KL Płaszów w większości nie są następcami osób mieszkających tam w czasach wojny czy przed nią.

To jak opisałbyś na przykładzie miejsc pamięci zmianę, która dokonuje się w muzealnictwie?

Wróciłbym do początku naszej rozmowy. Powiedziałem, że muzeum jest rzeczywistością tak samo żyjącą swoim życiem, jak i pamięć. Miejsca pamięci bardzo się zmieniały, ewoluowały w swoich zasadniczych funkcjach od czasów wojny. Pierwsze lata to była chyba jawna dominanta funkcji cmentarnej: ludzie przyjeżdżali, by zapalić znicze czy złożyć kwiaty w miejscu, gdzie ich bliscy zostali zamordowani. Ta rola przeważała nad wszystkim, a oprowadzanie było dodatkiem do cmentarnego rytuału. Dopiero później zaczęto stawiać wszędzie pomniki, co jest czasem dość absurdalne, bo cała przestrzeń poobozowa jest najpełniejszym pomnikiem – ale to były takie lata, kiedy się wydawało, że musi być pomnik, bo jak jest pomnik, to jest pamięć. Następnie miejsca pamięci stały się teatrem i narzędziem realizacji celów politycznych. Przyjeżdżał ktoś ważny, wygłaszał swoje przemówienie, pojawiali się dziennikarze, dokonywano pewnych aktów symbolicznych: pochylenie głowy, minuty ciszy i tak dalej. Zmienił się rytuał, wypierał funkcję cmentarną i powoli na pierwszy plan zaczęła się wybijać rola muzealna miejsc pamięci. Powstawały wystawy, bo zaczęły przyjeżdżać szkoły, więc kolejnym krokiem była występująca pełniej od lat dziewięćdziesiątych XX wieku funkcja edukacyjna – która z czasem stała się pierwszoplanowa. Szkoły już nie przyjeżdżały tylko po to, żeby zobaczyć, ale ich obecność wynikała z programów szkolnych, które zaadaptowały tę historię do swoich podręczników. Z tego krótkiego wyliczenia widać, że funkcje miejsc pamięci ewoluują cały czas i będą ewoluowały w przyszłości.

Może więc właśnie teraz jest czas na erę nowych technologii w miejscach pamięci?

Nie sądzę, by tak się stało. Patrząc wstecz, widzimy także, jak pewne mody przemijały. Dzisiaj mamy zachłyśnięcie się nowymi technologiami, ale zapominamy, że to samo zjawisko wystąpiło w późnych latach dziewięćdziesiątych XX wieku i na początku XXI wieku. Wówczas w obszar miejsc pamięci wkroczyła sztuka. Każdy artysta próbujący iść w kierunku ekspresji i dialogu z publicznością uważał, że koniecznie musi stworzyć jakiś film, zrobić instalację czy jakiś performans, najchętniej w samej przestrzeni miejsca pamięci. Według mnie w tym dążeniu była oczywiście ogromna doza autopromocji i niewiele głębokich

treści, więc w Auschwitz nie dopuszczałem do takich aktywności i potraktowania przestrzeni obozowej jak muszli koncertowej czy płaszczyzny dla instalacji. Performatywne działania odbierałem jako pewien gwałt na historii, do której nie do końca mamy prawo. Pomieszanie treści i formy. Jednak wówczas wielokrotnie środowiska artystyczne nazywały mnie betonem, który utrudnia ekspresję artystyczną. A dzisiaj mamy coś podobnego z technologiami, które istnieją już jakiś czas, choć nazywamy je nadal nowymi, jak na przykład rozszerzona rzeczywistość. Na technikę nie można się obrażać, choć trzeba pamiętać, że często ma ona charakter gadżetu. Dzisiejszy młody człowiek, który spędza przed ekranem większość swojego życia, nie wie, jak funkcjonuje encyklopedia, bo wystarcza mu Wikipedia. Nie wie także, jak się pracuje ze źródłem, bo wystarczająco dobrze opowie mu to youtuber. I jeśli ów młody człowiek spotka w miejscach pamięci wyłącznie ekrany, to dla niego nie będzie to nic zaskakującego, nic nowoczesnego ani dziwnego, tylko coś, co się bardzo szybko zdewaluuje. Technologie zmieniają się w tempie zawrotnym. Pokazuje to przykład narodowych wystaw w Auschwitz, w momencie swego powstawania czasem bardzo technologicznie zaawansowanych, które jednak po pięciu latach wyglądały jak muzea techniki. Dlatego dla mnie najistotniejszym doświadczeniem miejsca pamięci jest doświadczenie autentyzmu, niezależne od całej ewolucji muzeograficznej, od podążania za wszystkimi nowinkami, od kultu interaktywności i multimediów. Dla mnie istotą doświadczenia miejsca pamięci jest pewne podejście fenomenologiczne, czyli jak pokazać coś, niekoniecznie to nazywając, niekoniecznie obracając bućką o 360 stopni na ekranie monitora czy umieszczając robota, który będzie miał postać byłego więźnia i będzie odpowiadał na pytania na podstawie sztucznej inteligencji – bo i takie próby się odbywają na świecie. Nic nie zastąpi doświadczenia, które nie musi być nawet nazwane. Zobaczenie przedmiotów wydobytych archeologicznie z ziemi zawsze będzie więcej mówiło ludziom niż jakakolwiek rekonstrukcja technologiczna. Choć czasami warto ją stosować, jeśli jest to rozwiązanie uzasadnione, np. pokazując na ekranie istniejący krótki film z ewakuacji obozu.

Młody człowiek doświadczenie technologiczne ma codziennie, dzisiejsze dzieciaki trudno oderwać od ekranów na obiad rodzinny w niedzielę, więc jeśli chcemy im dać to samo, czego mają w bród, to wcale nie oznacza, że to będzie jakiś wielki sukces.

Dziękuję Ci za wyczerpującą odpowiedź. Teraz już czas na ostatnie pytanie. Jaka jest dzisiaj rola sieci społecznościowych? Jak mądrze z nimi postępować?

Z jednej strony internet to dzisiaj najpopularniejsze medium. Mało kto kupuje gazetę, ciekawe artykuły przesyła się w linkach. Internet jest więc także miejscem opowieści o historii, teraźniejszości i przestrzeni zadawania pytań o przyszłość. Z drugiej strony jest to miejsce kontaktu, co daje mu przewagę nad klasycznymi mediami, gdzie przekaz był

jednokierunkowy. W sieci te kierunki są zdywersyfikowane, informacja zwrotna jest dużo mocniejsza i często oczekiwana przez nadawcę komunikatu. Jest też jeszcze trzeci aspekt, znacznie trudniejszy. Twórcy social mediów, Facebooka czy Twittera, próbują nam mówić, że one tworzą sieci powiązań na całym świecie, bo można mieć kolegę w Los Angeles i w Tokio i dzięki temu cały świat jest połączony ze sobą. To nie jest jednak prawda, ponieważ sieci społecznościowe w fenomenalny sposób tworzą również getta. Każdy zamyka się w obrębie tego tematu, który go interesuje, i na ogół spotyka tam ludzi, którzy myślą podobnie do niego. Wśród nich czuje się bezpiecznie i dobrze, jest zrozumiany, nie musi się z niczego tłumaczyć, nie musi udawać kogoś, kim nie jest. Wyznawcy UFO mają swoje pokoje, wyznawcy QAnona mają swoje pokoje, płaskoziemcy swoje i tak dalej, między tymi pokojami nie ma żadnej interakcji. Dostyc podobnie jest prawdopodobnie z negacjonistami, także mającymi w sieciach społecznościowych swoje przestrzenie, których my nie widzimy. Co ciekawe, oni sami się nami nie interesują tak naprawdę, bo my nie jesteśmy ich przestrzenią tożsamościową, nasze poglądy się nie schodzą, nie mają punktów zaczepnych. Kiedy już przeszło dekadę temu uruchamialiśmy Facebooka Muzeum Auschwitz, jednym z takich moich lęków – jak się okazało na wyrost – było to, jak będziemy moderować dyskusje. Obawiałem się wysypu neonazistów, skinheadów, negacjonistów, antysemitów – i tym samym odpowiedzialności za monstrum, które stworzymy, a którego nie będziemy w stanie 24 godziny na dobę monitorować. Miałem mnóstwo wątpliwości: czy spać, kiedy Japonia i USA nie śpią, ilu osób do takiego monitoringu trzeba, w ilu językach to będzie musiało się odbywać, bo wówczas te posty nie były automatycznie tłumaczone na wybrany język... Moje obawy na szczęście się nie spełniły. Wybryki są zaskakująco rzadkie, a jeżeli już ktoś napisze coś niewłaściwego na temat Auschwitz, to moderują go inni uczestnicy. Gdy pojawia się – przykładowo – trzydzieści temperujących reakcji w ośmiu językach, to już drugi raz taka osoba nie będzie wyskakiwała z czymś niewłaściwym.

Kończąc i podsumowując: wbrew propagandzie łączenia całego świata zwracałbym przede wszystkim uwagę na gettoizujący charakter sieci społecznościowych, bo to właśnie jest poważne wyzwanie na przyszłość.

Bardzo dziękuję za rozmowę. ■